

Dni piękne, bogate i pełne emocji

Zofia Małynicz o paryskim sukcesie

Montmartre, Notre Dame, Louvre, Quartier Latin... — To były piękne, piękne dni — wspomina znakomita aktorka, **Zofia Małynicz**, swój niedawny pobyt w Paryżu, dokąd wyjechała wraz z zespołem Teatru Kameralnego, aby uczestniczyć w wielkim Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym.

— Co mogę powiedzieć o swoich wrazeniach? Przede wszystkim to, że... jeszcze nie zdążyłam ich jako tako choćby uporządkować. Widzę się jeszcze, to na Polach Elizejskich, to w Luwrze, to znów za kulisami teatru im. Sary Bernhardt. Większa jednak część owego tygodnia w Paryżu upłynęła mi w teatrze, za kulisami i na scenie, na widowni.

Czy miałam treść przed pierwszym występem? Jak tu nie mieć tremy, skoro grać mieliśmy po raz pierwszy w historii polskiego teatru na scenie francuskiej, w samym sercu ojczyzny Moliera, przed publicznością, nie znającą języka polskiego... no i w ogóle.

Wystartowaliśmy, jak wiadomo, „Mężem i żoną”. Najtrudniejszy był pierwszy moment, tuż po podniesieniu kurtyny. Ale potem — patrzmy — publiczność reaguje zupełnie nieźle. No, a gdy posypały się pierwsze, naprawdę gorące brawa — myślimy — dobra nasza!

Drugie przedstawienie „Męża i żony” — sukces jeszcze większy. Na sali mnóstwo Polaków z paryskiej Polonii. — W przerwach i po zakończeniu kurtyna szła nieprzerwanie w górę, a już gdy w „Grzechu” wszedł na scenę nasz kochany mistrz Zelwerowicz — zrobił się istny szal. Brawom i okrzykom nie było końca. Byłam w czasie jednego z przedstawień na widowni i widziałam sama, że ludzie płakali. Co tu się dziwić — po tylu, tylu latach po raz pierwszy polskie słowo ze sceny...

— A teraz może parę słów o samym Paryżu.

Mieszkaliśmy w bardzo nobliwym, powiedziałabym jak na mój gust, aż za bardzo nobliwym hotelu „l'Ambassadeur” — gdzie stałe przeważnie sam tzw. wielki kapitał. Francuzów — poza służbą — było tam bardzo mało.

Już z samego ranka każdy z nas patrzył, żeby tylko dalej od tego „Ambassadeura”. Łaziliśmy, jeździliśmy, gdzie się tylko dało i zdążyło. Sęk jednak w tym, że czasu było strasznie mało. Próby, występy, spektakle festiwalowe — niewiele czasu pozostało na zwiedzanie.

Francuscy koledzy okazali nam dużo serdeczności. Szczególnie gorąco podejmowali nas starzy przyjaciele z teatru „l'Ambigu”, który wystawił u nas sztukę Vaillanda „Pułkownik Foster przyznaje się do winy”. I to pomimo że im samym nie było bynajmniej wesoło na duszy. Większość z nich pozostaje bowiem bez pracy. Pojęcie jakiegoś stałego etatu nie istnieje, angażuje się aktorów „od sztuki do sztuki”.

Tak to na rozmowach, spotkaniach, grze i zwiedzaniu — niby jedna krótka chwila — minęły dni naszego pobytu. Co tu mówić. Były to naprawdę piękne dni. Mam tu na myśli nie tylko masę osobistych wspomnień i wrażeń. Chcę przede wszystkim podkreślić, że sukces, który odnieśliśmy, nasza gra na paryskiej scenie, przyczyniły się w znacznym stopniu do zacieśnienia tradycyjnej przyjaźni łączącej nasz naród z narodem francuskim.

Rozmawiał **A. W. Wys.**